

ZE STARÓWKI DO GROSS ROSEN

Trzydziesty sierpnia. Powstanie na Starym Mieście dogorywało. Nie było już czym się bronić, brakowało żywności, nie było wody. W tej sytuacji dowództwo Starówki zarządziło na godziny wieczorne wycofanie oddziałów do Śródmieścia.

Jedna kolumna ewakuacyjna formowała się na ul. Podwale. Na Kiłńskiego dołączono do niej rannych na noszach. Zapadł już zmrok, gdy pochód ruszył w kierunku Długiej. Na Długiej pierwszy postój. Tak akurat wypadło, że z kolegami znalazłem się nie opodal bram zniszczonych domów nr 18 i 20. W obu tych bramach zgromadzili się zadziwieni mieszkańcy tego odcinka ulicy. Kiedy się dowiedzieli, że będziemy się przebijać do Śródmieścia, posypały się w naszą stronę złorzeczenia: - "Zniszczyliście nas doszczętnie, a teraz uciekacie i zostawiacie nas na pastwę Niemców..." Następny postój wypadł na wprost ulicy Miodowej. Siedzieliśmy w tym miejscu chyba do północy. Od strony ulicy Bielańskiej słychać było odgłosy walki oddziału szturmowego, którego zadaniem było dokonanie wyłomu w pozycjach niemieckich, którymi zamierzano przejść do Śródmieścia. Potem posunęliśmy się jeszcze trochę i utknęliśmy przy Barokowej, gdzie na siedząco spaliśmy już do świtu. Rano rozeszła się wiadomość, że przebicie się nie udało. W tej sytuacji nastąpiło rozproszenie oddziałów i powrót na pozycje wyjściowe. Po kilkunastu godzinach rozpoczęła się ewakuacja powstańców kanałami do Śródmieścia i na Żoliborz.

Zdecydowałem się wyjść z rodzicami jako cywil. Po naradzie z mieszkańcami naszego domu, zdecydowaliśmy się wyjść 2 września rano. Zebraliśmy się na drugim podwórzu domu Świętojerska 11, dokąd dostaliśmy się przez otwór w murze na podwórzu domu Długa 18. Po uformowaniu się w pochód, na czele którego szedł mężczyzna z białą płachtą na kiju i krzyczał: "nich schüssen!" wyszliśmy na Świętojerską i udaliśmy się w kierunku Ogrodu Krasińskich. Przy barykadzie, w miejscu gdzie dziś jest ambasada irańska, na resztkach gruzu po zniszczonych domach getta, spali na kołdrach wyniesionych z pobliskich domów żołnierze niemieccy. Na dalszą drogę dostaliśmy eskortę złożoną z kilku żołnierzy, którzy poprowadzili nas na "Gęsiówkę". Nie dochodząc do niej z przerażeniem zobaczyłem budkę wartowniczą w czarno-białe pasy z trupią główką, co nie wróżyło niczego dobrego. Za chwilę okazało się, że był tu już tylko Wehrmacht. Po kilku godzinach przebywania na podwórzu tego obozu popędzono nas Gęsią do Okopowej.

Na Okopowej nie było ludności ani wojska, gdzieś tam tylko Niemcy grabili opuszczone domy. Z nie zniszczonych bloków na odcinku od ul. Montwiłła Mireckiego do Żytniej przedstawiciele rasy panów wynosili na ulicę meble. Dochodząc do skrzyżowania Żytniej z Karolkową ujrzałem na przeciwległym narożniku czerwieniejące w zieleni pomidory. Nie bacząc na eskortę, parę osób pobiegło tam, by urwać sobie kilka na drogę, lecz po chwili odskoczyli z odrazą. Między krzakami pomidorów leżały trupy, nad którymi unosiły się roje much. Byli to zapewne ci, którzy kilka dni przed nami wybrali się też na pomidory. Przed bramą kościoła parafii św. Wojciecha odłączono od nas kobiety i dzieci, a mężczyzn zagnano do kościoła,

skąd po kilku godzinach zabrano do Pruszkowa, gdzie spotkaliśmy się z odłączonymi wcześniej kobietami. 4 września załadowano nas do pociągu towarowego. Z peronowego głośnika zapewniano, że jedziemy do Niemiec na roboty.

Kres naszej podróży nastąpił około godziny 13 w Gross Rosen. Na podeście, przed murowanym barakiem SS zgromadziła się starszyzna esesmańska, która przyglądała się nam tak, jak ogląda się na dejście świeżego towaru. Kobiety ulokowano w bloku 11, skąd na drugi dzień rano wywieziono je do Ravensbrück, a mężczyzn zgromadzono na placu apelowym przed kuchnią. Widzieliśmy już, że znajdujemy się w obozie koncentracyjnym, a mimo to nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji, gdy nagle ozwały się gwizdki i na plac wbiegli blokowi, którzy przy akompaniamencie bicia i wrzasków zaczęli nas ustawiać piątkami do apelu.

Po apelu ustawiono stoły przed kuchnią, za którymi zasiedli pisarze obozowi z esesmanami i rozpoczęli rejestrację przybyłego transportu. Procedura rejestrowania była dość długa i skomplikowana, doszliśmy więc do przekonania, że tego wieczora nie uda nam się dojść do stołu, wobec tego z ojcem ułożyliśmy się na trawie do spania.

Po przebudzeniu się zobaczyłem, że wokół nas poniewierają się przedmioty osobistego użytku, rozmaite walizki, plecaki, torby i brzytwy, nożyczki, parasolki. Pozostało też sporo żywności, której nie zdążyli zjeść zarejestrowani. W trawie zaś tkwiły kawałki podartych na strzępy dolarów, "czerwońców", marek, "młynarek" i innych walut, które ludzie woleli podrzeć niż oddać Niemcom. Walało się także wiele kluczy od mieszkań, które już nie istniały. Wśród tego dobytku kręcili się więźniowie porządkowi, którzy zbierali do specjalnych skrzyneczek wszystkie drobne przedmioty, każdy co innego.

Po zdaniu dokumentów, wpisaniu personaliów do księgi obozowej i otrzymaniu tekturowego numeru ewidencyjnego na sznurku do zawieszenia na szyi przechodziło się do stołu, gdzie przyjmowano w depozyt wartościowe przedmioty. Kosztowną garderobę pakowano do papierowych worków. Kiedy zabrakło tych worków, skończyło się przyjmowanie. Na końcu trzeba było się całkowicie rozebrać i podejść nago do esesmana, który kazał pochylić się, stanąć w rozkroku, wyprostować się, wyrzucić ręce w bok i otworzyć usta. Kontrolował w ten sposób, czy ktoś czegoś nie przemycą w zakamarkach ciała. Zrywał przy tym z szyi medaliki i krzyżyki i odbierał nawet pasy przepuklinowe.

5 września zostałem zarejestrowany pod numerem 40465. I zaczęło się już robić ciemno, a ja wciąż czekałem nago w kolejce przed magazynem na obozowe ubranie. Nie zdążyłem jeszcze go otrzymać, gdy zabrano mnie do przenoszenia ubrań, które pozostały koło kuchni. Nosiliśmy je na koniec obozu i wrzucaliśmy do dołów z fundamentami pod nowe baraki. Już przy pierwszym kursie porządnie zmarzłem i założyłem pierwszą z brzegu marynarkę. Późnym wieczorem otrzymałem wreszcie obozowe łachmany, w bloku spotkałem się z ojcem. Nasz transport ulokowano w blokach 8 i 9 na kwarantannie.

Nazajutrz po rannym apelu rozpoczęło się dla nas coś w rodzaju kursu rekruckiego. Wszystkie elementy tych ćwiczeń pochodziły z niemieckiej musztry wojskowej i wydawane były po niemiecku. Dla większości z nas były one niezrozumiałe i wobec tego nie mogły być właściwie wykonywane. Wielu też miało już znacznie ograniczoną sprawność psychofizyczną i nie zawsze dobrze słyszało wydawane komendy. Każdy popełniony błąd był przyczyną dotkliwych szykan ze strony sztubowych.

W krótkich przerwach pomiędzy zbiórkami na ćwiczenia mogliśmy się sobie przyjrzeć. Po ostrzyżeniu głów do gołej skóry i przebraaniu w najrozmaitsze łachmany, przeważnie mundury wszystkich chyba armii Europy, z trudem mogliśmy się rozpoznać. Nie były to bynajmniej komplety mundurów. I tak jeśli ktoś dostał marynarkę karabi-niera włoskiego, to do tego miał czerwone spodnie żołnierza jugo-słowiańskiego lub greckiego. Wielu też otrzymało bryczesy, a do nich drewniane sandały. Na plecach marynarek mundurowych i cywil-nych wymalowane były czerwoną farbą duże krzyże i litery KL, a na spodniach pomalowano taką farbą lampasy. Ubierano nas w takie "kostiumy" z braku dostatecznej ilości pasiaków. Najbardziej śmiesz-ne były nasze nakrycia głowy porobione z męskich kapeluszy, w któ-rych ronda obcięto w ten sposób, że pozostały w nich małe daszki.

Mimo wszystko rozpoznałem wśród tych nieszczęśników wielu moich znajomych z domu przy pl. Krasińskich 2, gdzie mieszkałem i z miej-sca pracy w PWPW; wśród których było kilku uczestników walk w PWPW. W naszym transporcie znaleźli się też granatowi policjanci, straź-nicy, listonosze i kolejarze, a nawet jeden bahnschutz. Wszyscy oni ubrali się na drogę w mundury, licząc naiwnie na względy u Niemców. Przybyło też z nami kilku Chińczyków mieszkających od lat na Freta i na Mostowej.

Prawdziwą tragifarsą był apel niedzielny. Na placu zajmowaliśmy miejsca według kolejności numerów baraków. Maszerującym na plac ko-lumnom przygrywała więźniarska orkiestra obozowa. W pewnej chwili orkiestra milkła i na trójnogą drewnianą wieżyczkę, na której za-wieszony był niewielki dzwon, wdrapywał się młodociany więzień /pa-can/, który szarpiąc za sznur dzwonił na znak rozpoczęcia apelu. Jako ostatnia wbiegała na plac i zajmowała swoje miejsce karna kom-pania, która do ostatniej chwili musiała biegać obozowymi drózkami. Wszyscy więźniowie w tej kompanii ubrani byli w jasne kombinezony z naszytymi z przodu i z tyłu czerwonymi kołami, miały one ułatwić esesmanom cel w przypadku, gdyby im się zachciało strzelać. Przed zgromadzonymi na placu załogami wszystkich bloków ustawiali się szeregiem blokowi. Przed nimi stawiali blockführerzy, którzy wyciąg-nięciem ręki do tyłu odbierali od swoich blokowych tabliczki z ra-portem, następnie od blockführerów przyjmował kolejno meldunki ra-portführer, który po podsumowaniu wszystkich wyników kierował się w stronę lagerführera. W tym momencie z galeryjki nad bramą wjazdową rozlegały się dźwięki granego przez esesmana na trąbce jakiegoś hejnału. Z ambony do sędziowania zawodów sportowych, na której sta-li lagerältester i lagerschreiber, padały różne komendy.

W drugim tygodniu kwarantanny zaczęto szykować wysyłkę grupy więźniów do Mauthausen. Kilkusetosobowy transport z samych warsza-wiaków z powstania wyruszył do Mauthausen 17 września. Jechałem w nim i ja, tym razem już bez ojca. Dowiedziawszy się, że Mauthausen znajduje się w Austrii, robiliśmy sobie naiwne nadzieje, że będzie nam tam lepiej, bo w Austrii sami katolicy. Za kilka dni mogliśmy się już przekonać, że w obozie nie miało to najmniejszego znaczenia.

Z wywiezionych wtedy ze mną do Gross Rosen mieszkańców Starów-ki powróciła tylko niewielka garstka ludzi i to w większości kobiet. A przecież po upadku Starówki pozostała przy życiu ludność wywożona była do wielu jeszcze innych obozów koncentracyjnych, głównie do Oświęcimia, Mauthausen i Ravensbrück. Szczególnie jakieś złe fatum ścigało uciekinierów z Woli, którzy uniknąwszy na niej rzezi, ginę-li na Starym Mieście od bomb i pocisków pod gruzami domów i kościołów, bądź byli rozstrzeliwani w powstańczych szpitalach; tonęli w zala-nych wodą piwnicach, a także ginęli w nich od wrzucania doń grana-tów i miotaczy płomieni. A ci, którym udało się z tego piekła wyjść z życiem, cierpieli potem i umierali w hitlerowskich obozach kon-centracyjnych.

Z WALK POWSTAŃCZYCH PRZEZ PRUSZKÓW DO GROSS-ROSEN

Do wybuchu powstania warszawskiego zamieszkiwałem na terenie Warszawy w różnych dzielnicach, ostatnio przy ul. Okopowej 29a, zatrudniony byłem w Firmie "Simplex", przy ul. Górczewskiej Nr. 51/53 za wiaduktem kolejowym, gdzie odbywałem praktykę ślusarską. Tam też nawiązałem pierwszy kontakt z AK i po zaprzysiężeniu zostałem jej członkiem.

W początkowym okresie brałem udział w zbiórkach sekcji, a następnie w przenoszeniu prasy "Biuletyn Informacyjny", "Rzeczpospolita Polska", którą w późniejszym okresie przenosiłem do wyznaczonych punktów jak: Fabryka Kwasu Karpińskiego, przy ul. Wolność itp. oraz brałem czynny udział w naklejaniu odezw do mieszkańców Warszawy. Ubezpieczany byłem przez starszego ode mnie o 4 lata kolegę z pracy i konspiracji - Litowskiego.

Powstanie warszawskie zastało mnie w dniu 1.08.1944r. w miejscu zamieszkania przy opóźnionym obiedzie, którego nie dokończyłem i zgłosiłem się do najbliższego zgrupowania jako ochotnik na ul. Karolkowej róg ul. Żytniej, gdyż do swoich trudno się było dostać. W miejscu tym mieściła się część dowództwa Kedywu, a konkretnie "Parasol" pod dowództwem kapitana "Pługa" i mego dowódcy drugiej kompanii porucznika "Kopcia". Tam też po przeprowadzeniu rozmowy wydano mi opaskę AK, broń i polecono trzymać wartę, gdyż w tym czasie zgłosiło się zaledwie 30% stanu osobowego tego zgrupowania.

Wzdłuż ul. Karolkowej na całej szerokości ulicy budowano pośpiesznie przy współudziale mieszkańców barykadę z kamieni i płyt chodnikowych. Skierowana ona była wzdłuż ul. Leszno i Wolskiej. Na barykadzie tej ustawiono karabin maszynowy i kilkuosobową załogę z bronią. Główny ciężar walki w tym czasie spoczywał na Woli, wiadukcie kolejowym, Dworzec Gdański-Wola, barykadach na Młynarskiej i cmentarzach: kalwińskim, ewangelickim, żydowskim i powązkowskim.

Z uwagi na to, że bardzo w tym czasie paliłem się do walki, jako 19 letni chłopak wziąłem udział na swoim znanym mi terenie w zdobywaniu mocno umocnionej Fabryki "Wilhelma Döringa", która dokładnie mieściła się wówczas po stronie nieparzystych numerów, gdzie od ul. Okopowej przy bramie z lewej i prawej strony usytuowane były bunkry żelbetonowe z zamontowanymi wewnątrz ciężkimi karabinami maszynowymi, co w tym czasie pozwoliło na poruszanie się po tym odcinku Okopowej od Żytniej w kierunku Leszna i odwrotnie. Zdobyć ich od ulicy Okopowej było niemożliwe. Pamiętam robiła się szarówka i operacja nas 6 czy 7 śmiałków można ją tak dziś nazwać o niezbyt dużej sile rażenia ogniem polegała na zaskoczeniu Niemców od strony dachów od ul. Żytniej, gdzie zorganizowaliśmy, a później postawiliśmy niezbyt długą drabinę po której weszliśmy na dach niezbyt wysokiej gdzieś 3-4

metrowej przybudówki. Następnie wciągnęliśmy drabinę i weszliśmy na wyższy dach. Później kolega ps. "Majk" doradzał nam abyśmy owinęli szmatami buty i przewiązali sznurkiem. Następnie jeden z kolegów podczas panujących ciemności podpełzał w kierunku nieprzyjaciela, w celu zbadania sytuacji i wracając dał nam znak do przemieszczania się tak aby pełzając po dachu nogi jednego łączyły się z głową następnego uczestnika akcji, żeby tworzyło to coś jednolitego. Po upływie krótkiego czasu znaleźliśmy się na dachu wroga, widząc z góry cały dziedziniec. My zaś otworem, wydaje mi się dymnikowym, ponieważ było ciemno zaczęliśmy skakać w ciemną przestrzeń strychu, czy jakiegoś pomieszczenia schodząc pomału schodami w dół i zaglądając do różnych pomieszczeń, gdzie o dziwo panowała cisza i nie było żywej duszy.

Następnie po rozstawieniu się i przemieszczeniu do piwnic - zaskoczyliśmy Niemców w jednym z pomieszczeń piwnicznych poprzez nagłe otwarcie drzwi i oddanie serii z broni maszynowej i wezwanie w języku niemieckim do kapitulacji. Zaskoczeni Niemcy zaczęli opuszczać pomieszczenie z podniesionymi rękami i zostali wzięci do niewoli w liczbie 31 żołnierzy wraz z dowódcą. Kojarzy mi się również na terenie tej Fabryki dość ciekawy przypadek polegający na oddaniu strzałów do kasy pancernej po zabranii jeńców w jednym pomieszczeniu i wydaje mi się że ktoś z naszych oberwał przez ciekawość od rykoszetu. Skutek był taki, że nasza nieliczna grupa śmiazków zdobyła 31 jeńców, duże ilości broni i amunicji oraz pokaźny magazyn żywności w pomieszczeniach piwnicznych tego budynku, a co najważniejsze odblokowaliśmy swoją brawurą odcinek ulicy Okopowej między Żytnią i Lesznem. Większość wziętych do niewoli byli Własowcami, czyli pospolitymi kałmukami, którzy wysługiwali się naszemu wrogowi. Jeden z nich nie pozbył się pistoletu i podczas wychodzenia chciał przy wyjściu zrobić z niego użytek, lecz akcja jego nie doszła do skutku na skutek obezwładnienia napastnika przy pomocy automatu i przejęcia broni.

Odprowadziliśmy ich na ul. Karolkową i ustawiliśmy pod murem, ogradzającym były dom starców z wyciągniętymi rękoma do góry, który łączył się bezpośrednio z cmentarzem kalwińskim, który z kolei brał początek od ul. Młynarskiej naszych stanowisk. Kolega który wezwał Niemców do poddania się w języku niemieckim zameldował porucznikowi "Kopciowi" o wynikach akcji. Jeden z Własowców jak pamiętam zwrócił się do naszego dowództwa z propozycją, żeby im własowcom pozwolono walczyć z nami przeciwko Niemcom, drugi powiedział, szliście z Rosjanami na Niemców i na nas, należy Wam się u nas odpoczynek. Po wizytacji zapędziliśmy ich do piwnic jednego z dwóch budynków,

gdzie byli nadzorowani przez wartownika. W miejscu tym drugiego, czy trzeciego dnia stał pod drzewem uszkodzony czołg, gdzie miano dokonywać remontu przy pomocy jeńców. Chodziło o naprawę wieżyczki. Czołgiem tym, ale mając już dwa zdobyte czołgi por. "Wacek" wspierał na najbardziej zagrożonych odcinkach żołnierzy Kedywu.

Następnie dostaliśmy umundurowanie ze Stawek pochodzące z ich magazynów. W moim przypadku ponieważ posiadałem własne buty oficerki otrzymałem spodnie do butów, bluzę nakrapianą sznurowaną na przodzie i czapkę z materiału przeznaczoną dla jakiegoś fryca, do której z obu stron przyczepiłem białe czerwone patki i opaskę na rękę oraz pistolet Błyskawicę. Tylko Błyskawica ta była zawodna i musiałem przy pomocy kawałka drutu podczas prze-

grzania kierować pierwszy pocisk do komory gdyż lubił się zapierać o ściankę. Zdarzenie związane z moim zgrupowaniem. Było to trzeciego dnia powstania, udaliśmy się na odpoczynek do pierwszego budynku domu starców przyległego do cmentarza ja zaś udałem się do domu odwiedzić rodziców z uwagi na bliskość od miejsc naszych stanowisk zabierając rodzicom puszkę ozorków ze zdobytych magazynów na Stawkach oraz kilka kostek cukru. Po odpoczynku wychodząc na ulicę dopadł mnie osobnik z opaską AK z pistoletem w ręku wrzeszcząc - już idziecie ze mną. Obok niego w pobliżu stał drugi powstaniec i zaczął coś meldować memu prześladowcy. Stwierdziłem, że mam doczynienia z jakąś figurą i pobiegłem za nim do Żytniej i lewą stroną skokami od bramy do bramy w kierunku Wroniej, nagle skręcił w bramę a później w lukę przebitego muru i po klatce schodowej gdzieś na strych. Podczas takiej pogoni za nim po strychach i różnych zakamarkach ów gość z parabelą posługiwał się kolorowymi wstążeczkami ustawiając mnie to w jednym to w drugim miejscu i o dziwo znaleźliśmy się w drugim końcu ulicy Kaczej, skąd w ciemnej przestrzeni coś zagzeleściło. Otóż jak się okazało wyrwał się z tamtąd snajper. Ów gość krzyknął - miej się na baczności, naraz rzucił coś w stronę szkopa, a ten wystrzelił i począł uciekać w moją stronę. Pociągnąłem za spust wykańczając na miejscu cywila, który wyposażony był w karabinek z lunetą. Następnie podeszliśmy do niego, a prowadzący ze mną akcję pościgową powiedział do mnie nie darmo goniliśmy za nim ponieważ zabił już kilka osób i była to akcja pościgowa, w której uśmiechnęło się do mnie szczęście. Uścisnął mi rękę i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę z tym jednak, że karabinek i amunicję zabrał mój początkowy prześladowca. Po powrocie na Karolkową w miejscu mego punktu zbornego włączono mnie w grupę zwiadu i udaliśmy się w kilkuosobowej grupie w kierunku ulicy Wolskiej przecinając po drodze Leszno, w celu zorientowania się o sytuacji na tym odcinku. W ostatnim budynku na ulicy Karolkowej po stronie lewej idąc od Żytniej, konkretnie za szkołą podstawową Nr. 90 byłem łącznikiem między jednym z kolegów obserwującym ulicę Młynarską z wywróconymi tramwajami na całej szerokości ulicy, po czym udaliśmy się do dawnego kina "Roxy" na Wolskiej przy Karolkowej i powróciliśmy do stałego miejsca kwaterowania, gdzie zdano sprawozdanie z naszej obserwacji por. "Kopciowi" dowódcy drugiej kompanii "Parasola".

Gdzieś w dniu 4.08.1944r. na odcinku linii kolejowej od Dworca Gdańskiego po Wolę przemieszczony został pociąg pancerny, który dotkliwie dawał się we znaki cmentarzowi kalwińskiemu na naszych stanowiskach i naszym sąsiadom położonym z prawej strony a konkretnie "Zośce". Oddziały nasze, a w tym i nasz dowódca por. "Kopeć", zdawaliśmy sobie sprawę, że wróg był w tym czasie bardzo rozjuszony, zapalczywy i mordował wszystkich nie przebijając w środkach, począwszy od dzieci do starców nie mówiąc już o powstańcach. Na nasze odcinki Niemcy atakowali od strony Koła i Boernerowa czołgami z ich sławetnej Dywizji "Hermann Göring".

Inne jednostki na naszym przedpolu zostały już prawie doszczętnie zniszczone i główny ciężar walki przeniósł się w rejon Kedywu na cmentarz kalwiński i sąsiednie. W czasie tym resztki oddziałów zostały wchłonięte przez inne jednostki. Od nich to dowiedzieliśmy się, że oddziały niemieckie, które 5.08.1944r. przybliżyły się w naszym kierunku wyciągały na zdobytych tyłach

ludność z domów i nie zważając na wiek i płeć rozstrzelali niewinnych i bezdomnych. Ta jatka jeśli ją tak nazwać można miała na celu rozwinięcie terroru w nieograniczonych i niespotykanych rozmiarach, ażeby w ten sposób zastraszyć uczestników powstania i wyrzucić presję na zaniechanie walk.

Ponadto na tyłach posuwającego się natarcia Niemcy palili zdobyte i zajęte nawet bez walki domy, mając na uwadze wywarcie presji, a jednocześnie ułatwili sobie oczyszczenie zdobytego terenu. Tak z grubsza biorąc w tym morzu krwi i ognia, rozlewającym się wokół nas, prezentowano nam kulturę niemiecką w połowie XX wieku.

Dowództwo nasze natomiast nakazywało obchodzić się z jeńcami w sposób humanitarny i godny uszanowania bezbronnego, z czym po cichu powiem za doznane krzywdy osobiste i rodzinne pogodzić mi się było trudno.

Nie pamiętam dokładnie, ale to miało miejsce 4 czy 5.08.1944 samoloty RAF dokonały zrzutu na plac Kercelego i cmentarz żydowski, ale jest to wiadomość od kolegów na której nie zawsze można polegać.

Na naszym odcinku w dniu 5.08.1944r. wyruszyło natarcie niemieckie i uderzyło ulicami Wolską i Górczewską. Przystąpienie do natarcia ze strony Niemców poprzedził nalot na cmentarze. Niemcy wówczas zajęli ul. Działdowską oraz opanowali zajezdnię tramwajową na ul. Młynarskiej po drugiej stronie ul. Wolskiej.

Natarcie poza nalotem na stanowiska Kedywu wykonane w tym dniu było prowadzone drugorzędnymi siłami i doszło w zasadzie do ul. Młynarskiej, nie zdołało opanować tej ulicy, ani posunąć się dalej.

Robiło się coraz bardziej gorąco, trwał ciężki bój w rejonie ulic Wolskiej, Górczewskiej i Karolkowej, ale nacisk czołowy wroga na cmentarze, nękanie z dział pociągu pancernego i lotnictwa stawał się coraz mocniejszy, co w konsekwencji pociągało straty w ludziach i sprzęcie.

Niemcy atakując wyniszczały mając uzbrojenie po zęby powstańcze oddziały, sami jednak atakując ponosili duże straty.

Najbardziej utkwili mi w pamięci natarcie w dniu 6.08.1944r. na cmentarze kalwiński i ewangelicki, które rozpoczęło się o godzinie 7-8 rano od strony ul. Płockiej po gwałtownym ostrzeleniu cmentarzy ogniem artylerii i moździerzy. Nacierają wówczas policja szwabska. Natarcie ich pomimo huraganowego ognia załamało się na stanowiskach wzdłuż ul. Żytniej i nie było postępów z ich strony. Natomiast w godzinach popołudniowych /12-13/ Niemcy osiągnęli odległość szturmową i po piekielnie silnej nawale ogniowej na obydwie cmentarze, nasz kalwiński i sąsiedni ewangelicki i po krótkim czasie mieszczącym się w granicach około godziny zostaliśmy odrzuceni na ul. Okopową z dużymi stratami w sprzęcie i ludziach.

Dzień ten muszę zaliczyć do pierwszej tragedii mego życia, ponieważ ja sam zostałem ranny w głowę jak również podczas przeskoku pękła mi kość nogi prawej i dzięki nadbiegającym kolegom z ledwością udało mi się wydostać ze szpon wroga.

Druga tragedia naszej II kompanii to strata zacnego dowódcy i dobrego stratega por. "Kopcia" vel Stanisława Jastrzębskiego który został wyeliminowany z dalszej walki.

Dalsze moje losy to punkt sanitarno-opatrunkowy na ul. Gibalaskiego. Z uwagi na to, że ostatnio nie złożyłem wizyty w do-

mu w czasie przeznaczonym na odpoczynek mój ojciec dowiedział się od jakiegoś kolegi, że zostałem ranny, ja natomiast oczekiwałem w kolejce rannych, a było ich sporo na wizytę i diagnozę, podczas której stwierdzono rany cięte głowy i pęknięcie nogi prawej i zachodzi potrzeba wyłączenia mnie ze względu ran na okres 5-6 tygodni. W tym też czasie zgłosił się do mnie ojciec Józef udając się do jednego z dowódców, aby zezwolił na leczenie mnie, kilka domów dalej, przez znajomego chirurga Pawła Słojewskiego - przyjaciela mego ojca. Na co niechętnie ale uzyskał zgodę głównie ze względu na brak środków opatrunkowych i odpowiednich warunków, choć nie było ich wówczas nigdzie. Następnie przy pomocy kolegów i ojca zabrano mnie do tego doktora, gdzie wygolono mi w kilku miejscach głowę, wydezynfekowano, założono klamarki i założono gips.

I tak następnego dnia dowiedziałem się od odwiedzającego kolegi Zdzisia, że z cmentarza żydowskiego na Niemców, którzy zajęli cmentarze, uderzyły jakieś inne oddziały Kedywu i nasi powrócili na cmentarze kalwiński i ewangelicki. Pod wieczór tego dnia zaczęto mnie szwarcować w kierunku Starego Miasta choć była to dla mnie istna golgota. I tak przy pomocy ludzi dobrej woli i powstańców skierowano mnie do Szpitala powstańczego usytuowanego w piwnicach przy palących się gdzieś niegdzieś świecach. Wyżywienie ulegało coraz mniejszej ilości kalorii, polegającej na pęczaku wodnistym. Była to druga ciernista droga, a później trzęsienie ziemi od zrzucanych bomb i pocisków z goliatów /szaf/ itp.

Nareszcie przyszła ewakuacja lżej rannych, reszta pozostaje na miejscu. Pamiętam robiłem sobie wyrzuty że rozstaję się w takim stanie z oddziałem "Parasol", że uległem i zostałem przez to przemieszczony z deszczu pod rynnę.

Wyczuwając sytuację przy pomocy innych osób wydostałem się z tego wojskowego szpitala o kijach i w ogólnym zamieszaniu z innymi podobnymi przemieszczaliśmy się wolno pod gradem bomb i pocisków do Freta następnie skręciliśmy w lewo do ul. Długiej w kierunku wjazdu, który był oblegany tłumem ludzi i o dziwo spotkałem tam osłonę batalionu "Parasol" był to 31.08. czy 1.09.44r. Koledzy powiedzieli mi wówczas nie dasz rady nawet się nie dostaniesz i zginiesz w kanale. Był to dla mnie przemarsz przez piekło pod gradem bomb i rwących się pocisków.

Ponownie dostałem się do piwnic jednego z domów na zewnątrz zburzonego na Starym Mieście, gdzie u wejścia leżał ranny żołnierz niemiecki i wywieszona była flaga czerwonego krzyża. Tam pozbyłem się butów niemieckich i po schowaniu ich włożyłem otrzymane cywilne ubranie. W pośpiechu porozcinano mi gips, którego się pozbyłem bez względu na czasokres jeszcze krótki i tak oczekiwałem na dalsze losy, które nie były zarówno mnie jak i innym znane.

Dzięki temu Niemcowi następnego dnia, czy tego samego wypędzeni zostaliśmy na Rynek Starego Miasta, a następnie z kijami i częściowym wsparciu się na jednym człowieku, który udzielał mi pomocy pod wieczór dostaliśmy się do dość dużych hal fabrycznych Pruszkowa.

Warunki życia ludności i żołnierzy straszne, brak wody, światła, gazu a kanalizacja w większości nie funkcjonuje. Klozety są pozapychane z żadnych zakątek korzystać nie można, gdyż na każdym skwerku są groby i przybywało ich z każdą godziną więcej.

W ostatnich dniach nawet dla powstańców kompletny brak chleba, wydają jedynie kuchnie oddziałów obiady żołnierskie i dla chorych i rannych, ale ich wartość spada stale. Jest to tylko chuda zupa z kaszy z dodatkiem krojonych ziemniaków, czasem jakiegoś grochu lub klusek, a co dzień ta sama.

Z piciem istna tragedia pozostała surowa woda, co przyczynia się do choroby żołądka. W takim piekle na ziemi wytwarzały się nieznosne warunki duchowe, każdy następny dzień prowadził do zniszczenia i rzezi tysiocy bezdomnych i niewinnych ludzi pozabawionych wody i pokarmu zduszonych w piwnicach i prowizorycznych szpitalach w których przebywałem.

Tak z grubsza biorąc wyglądała część tego smutnego okresu z mojego życia, która najbardziej utkwiała w mojej pamięci po 40 latach od tego tragicznego w skutkach okresu. W Pruszkowie otrzymałem 1 kg chleba i bydłecymi towarowymi wagonami przez Żyrardów, Breslau /Wrocław/ wywieziony zostałem do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, a następnie jego filii Landeshut, gdzie przebywałem do dnia 9.05.1945 r., ale nie było to dla mnie sanatorium tylko drugie piekło o którym już Wam wspominałem.

Jak się później dowiedziałem Niemcy dokonali mordów na powstańcach rannych mnie natomiast uratował ten ranny żołnierz, którym opiekowała się ludność.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.83

Kocki Ferdynand Nr. 40619 Block 48 K.L. Gross-Rosen Schlesien 8 Der Führer kennt nur Kampf, Arbeit und Sorge. Wir wollen ihm den Teil abnehmen, Den wir ihm abnehmen können.	Postkarte Ewa Kocki Piotrowski Pruszków B. Pusa 5 lub R. G. O. Gmoch „Sokolik“
---	--

Ferdynand Kocki z Warszawy- więzień Nr 40619 pisał list z obozu 1 stycznia 1945 roku. Nie przypuszczał, że 15 lutego 1945 roku podzieli los tysiocy pomordowanych.

Nr archiwum 1.5.3.21.

Z WARSZAWSKIEGO POWSTANIA DO OBOZU GROSS-ROSEN

Od września 1943 roku byłem żołnierzem Armii Krajowej zgrupowania "Ochota" pod dowództwem pułkownika "Grzymały".

1 sierpnia 1944 roku brałem udział w Powstaniu Warszawskim. Walczyliśmy na Placu Narutowicza w ataku na Dom Akademicki obsadzony przez wojska niemieckie. Po nieudanym ataku zgrupowanie "Ochota" wycofało się w nocy 2 sierpnia poza Warszawę. W drodze stoczyliśmy parę potyczek z posterunkami niemieckimi. Większe starcie nastąpiło pod Pęcicami. Po wycofaniu się z walki pluton mój pod dowództwem kapitana "Zycha" zatrzymał się w lasach pod Piasecznem. Po dalszych starciach z wojskami niemieckimi część mojego plutonu, a wśród nich i ja została zdemobilizowana z powodu braku amunicji. Niektórzy nie posiadali jeszcze broni. W dniu 13 sierpnia okrężnymi drogami przedostałem się na Bielany do domu.

Około 15 września z ludnością wysiedloną z Białan przewieziono mnie do obozu w Pruszkowie, skąd pociągiem odesłano w transporcie do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

W obozie zabrano nam wszystkie przedmioty i ubrania, a wydano ubrania cywilne bardzo zniszczone oznaczone na spodniach i marynarkach znakami z czerwonej farby olejnej - lampasy i krzyże. Otrzymaliśmy również swoje numery więzienne na kawałkach materiału, które trzeba było sobie przyszyć. Mój numer był P-59416 z czerwonym trójkątem. Następnie zostaliśmy rozlokowani w barakach tzw. blokach. Przydzielono nas na blok 9.

W pierwszych dniach nie byliśmy nigdzie zatrudniani, lecz stale przebywaliśmy przed blokiem. Był to okres kwarantanny. Dzień rozpoczynał się od apelu, który polegał na staniu w szeregu przed blokiem często około 2 godzin, bez względu na pogodę i czekaniu aż blokowy zda raport o stanie więźniów. Po apelu otrzymywaliśmy tzw. śniadanie składające się z wodnistej polewki /około 1/2 litra/ gotowanej z nieznanymi mi składnikami. Około południa był obiad składający się tylko z zupy z brukwi lub innych roślin z kartoflami, bez tłuszczu i mięsa. Na kolację otrzymywaliśmy tzw. "pajdkę" chleba a później kawę zbożową bez cukru, kawałek margaryny, czasami był kawałek topionego sera lub plasterek jakiegś wędliny.

Około 10 października na skutek częstego przemoczenia ubrania i stałego przechłodzenia oraz niedożywienia zachorowałem na zapalenie płuc i zostałem przekazany do obozowego szpitala mieszczącego się w bloku nr 2. Dzięki staraniom polskich lekarzy a szczególnie dr Białego, przeżyłem i około 15 grudnia wypisano mnie ze szpitala na blok. W tym czasie pracowałem w kuchni przy obieraniu kartofli, buraków, cebuli itp., - nosiłem drewniane prefabrykaty na budowę nowych baraków, gdyż obóz rozbudowywał się.

Na początku stycznia zachorowałem znowu, tym razem na zapalenie obydwu uszu. Dostałem się na blok szpitalny nr 5, gdzie polski lekarz laryngolog wyleczył mnie. Miałem być wypisany ze szpitala ale ze względu na sytuację w obozie - duży napływ więźniów z terenów, gdzie wkroczały wojska radzieckie i przygotowywanie obozu do ewakuacji, wyszedł rozkaz o wstrzymaniu wszelkich ruchów więźniów

z bloku na blok. W ten sposób pozostałem w szpitalu aż do ewakuacji. Ewakuowano nas kolejną. Po trzech dniach podróży bez jedzenia, w otwartym, strasznie zatłoczonym wagonie towarowym, pilnowani przez dwóch esesmanów dowieziono nas na pół żywych do obozu koncentracyjnego Mittelbau - Dora koło miasta Nordhausen. W drodze w moim wagonie wielu więźniów na skutek chorób i wycieńczenia zmarło. Prosto z pociągu część więźniów mogących utrzymać się na nogach, doszła do obozu samodzielnie a pozostałym pomogli iść skierowani nam na pomoc miejscowi więźniowie. W obozie bardziej chorych i słabszych skierowano do szpitali a silniejszych bezpośrednio na blok dając parodniowe zwolnienie z pracy. Ja dostałem się do szpitala. Ważyłem wtedy 35 kg.

W szpitalu tym przebywałem około 20 dni i następnie przekazany na blok otrzymałem jeszcze parę dni zwolnienia z pracy. Ponieważ w dalszym ciągu do pracy nie nadawałem się po paru dniach zostałem wraz z grupą około 40 więźniów przewieziony do podobozu znajdującego się na skraju miasta Nordhausen przy ul. Boelche-Kaserne.

Podobóz ten był "wykańczalnią" ludzi, którzy nie mogli już pracować. Warunki jakie tam stworzono umożliwiały życie więźniom najwyżej przez parę tygodni.

Obóz mieścił się w wielkich garażach - warsztatach samochodowych, konstrukcji żelbetowej. Poszczególne hale, na które garaże były podzielone stanowiły "bloki". W halach tych nie było żadnych prycz do spania. Na noc rozkładane były na betonowej posadzce wióry drewniane i dobrze było jeżeli parę garści tych wiórów udało się zdobyć. W jednej hali /bloku/ przebywało kilkuset ludzi, codziennie rano pozostawało na posadzce kilkanaście trupów, które składano później pod ścianą a następnie zabierali i gdzieś wywozili. Ubranie mogło składać się tylko ze spodni, marynarki, czapki i drewniaków /było b. zimno, szczególnie rano/. Za posiadanie czegokolwiek więcej groziła praktycznie śmierć, gdyż blokowy uzbrojony w krótki gruby trzonek drewniany zakończony żelazną mufą, lub któryś z jego pomocników bili każdego nieposłusznego, co w zasadzie przesądzało jego dalszy los. Gdy blokowy uderzył mnie raz w ramię przy popędzaniu na poranny apel to ból czułem parę miesięcy. Dwukrotnie zarządzono tzw. odwszanie zabierając na całą noc ubrania i pozostawiając wszystkich nago. Niespodziewanie gdy już sądziłem, że nie wytrzymam tego dłużej, miasto Nordhausen oraz obóz zostało zbombardowane.

Pierwsze bombardowanie w /Święta Wielkanocne/ było stosunkowo małe, ale już nastąpiło pewne rozprężenie dyscypliny obozowej. Drugie bombardowanie nastąpiło następnego dnia /prawdopodobnie na skutek nie poddania miasta przez Niemców/, było to bombardowanie dywanowe. Dwie trzecie miasta zostało całkowicie zniszczone, na obóz padło kilkadziesiąt dużych bomb i zniszczyło lub poważnie uszkodziło znajdujące się na jego terenie budynki. Około 50% więźniów zginęło w tym bombardowaniu. Ja ocalałem, ponieważ bomba, która padła w odległości 5 m ode mnie nie wybuchła. Obóz jako taki przestał istnieć, pozostała przy życiu obsługa SS i więźniowie będący na usługach Niemców /blokowi, kapo/ uciekli z terenu obozu.

Pozostali przy życiu więźniowie, przeważnie na jego terenie, kryli się w pozostałych po bombardowaniu ruinach. W parę dni później Niemcy usiłowali zabrać z terenu obozu pozostałych więźniów ale ze względu na rozkładające się już ciała setek ludzi nie wchodzili w głąb terenu obozu i poprzestali na zabranie kilkunastu zaszkoczonych więźniów znajdujących się na skraju obozu. W parę dni później wkroczyły wojska amerykańskie i nareszcie byliśmy wolni.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.84.

Po trzech miesiącach pobytu w mieście Nordhausen dla dojścia do zdrowia i sił oraz po miesięcznej wędrówce powróciłem do Warszawy.



Różnymi drogami pędzono mieszkańców Warszawy do obozu w Pruszkowie. Mieszkańcy Woli trasą przez Włochy, Ochota przez Zieleniak i Okęcie .

Nr archiwum 1.2.8.

DRUGI WRZEŚNIOWY TRANSPORT WARSZAWSKI Z PRUSZKOWA DO GROSS-ROSEN W 1944 ROKU

We wrześniu 1944 roku z obozu przejściowego w Pruszkowie-Dulag 125 - skierowano do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen dwa transporty z ludnością warszawską. Pierwszy przybył do obozu 5 września, a więźniów objęto numeracją więźniarską powtórzoną w serii od 31000 do 40000. Transport drugi przybył do obozu 18 września 1944 roku.

Celem tego opracowania jest przedstawienie losów więźniów przybyłych w drugim transporcie - objętych numeracją do 59800 i od 61800. Numerację na 59 tysięcy zakończono przypuszczalnie numerem 59800, który otrzymał Antoni Gwoździcki, natomiast dalszą numerację nadawano prawdopodobnie od 61800, gdyż jadący tam transportem Motel Tadeusz otrzymał nr 61886. Gdyby taką tezę przyjąć, a dalsze badania nad numeracją więźniów obozu Gross-Rosen uzupełnią luki - można przyjąć założenie że transport liczył około 900 osób.

W opracowaniu wykorzystana została dokumentacja zgromadzona w archiwum środowiska byłych więźniów Gross-Rosen oraz osobiste zapiski autora prowadzone od 1945 roku. Jest ono tylko przyczynkiem do tematu.

Większość więźniów drugiego transportu nie powróciła do swych rodzin, a ich prochy spoczywają w kilku krajach Europy. Przetrwali tylko nieliczni i ci stanowią żywy dokument tamtych czasów.

W połowie września 1944 roku trwały jeszcze w Warszawie powstańcze walki. Padła Starówka, Wola, Ochota. Mieszkańcy tych dzielnic jeśli nie przedostali się do Śródmieścia zostali przez Niemców ujęci i deportowani, przez Włochy, Ursus do Pruszkowa w obozie Dulag 125. Stąd też wywożeni byli do różnych obozów koncentracyjnych lub do obozów pracy przymusowej na terenie Rzeszy.

Walki powstańcze trwały jeszcze na Czerniakowie, Żoliborzu i w Śródmieściu. Ludność z Bielan i Żoliborza około 15 września została częściowo deportowana do obozu w Pruszkowie.

Podwarszawską miejscowość Włochy liczącą przed wojną około dwudziestu tysięcy mieszkańców dotknęła również deportacja do obozu w Pruszkowie. W okresie okupacji hitlerowskiej miało tutaj schronienie wielu członków politycznych różnych ugrupowań konspiracyjnego ruchu oporu. Rozkaz o przystąpieniu do powstania dla działaczy podziemia Włoch nie dotarł do wszystkich. Jedynie niewielkiej części, głównie należącej do zgrupowań warszawskich udało się dotrzeć na miejsce koncentracji.

W te sierpniowe i wrześniowe dni również wielu warszawiaków którym udało się opuścić miasto zamieszkiwało nielegalnie we Włochach.

Od wczesnych godzin rannych 16 września Niemcy rozpoczęli

we Włochach masową obławę na mężczyzn do lat 60. Dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu poddane zostały wojskowej i policyjnej kontroli. Po mieście krążyły samochody z głośnikami ostrzegające mieszkańców, że ukrywający się mężczyźni zostaną zastrzeleni. Tym, których zabierano z domów nakazano zabrać ze sobą żywność i pieniądze, co dodatkowo stwarzało pozory iż będą oni przeznaczeni do prac przymusowych. Zatrzymywani mężczyźni doprowadzani byli na miejsce koncentracji w okolicy dworca kolejowego, skąd wiodła droga do obozu w Pruszkowie, a później do obozów koncentracyjnych. Z dworca Warszawa-Zachodnia co kilka minut podstawiano elektryczny pociąg i po załadunku ludźmi odjeżdżał do Pruszkowa. Było tych pociągów kilka.

Ostatnią grupę zatrzymanych liczącą około 1000 osób żołnierze Wehrmachtu doprowadzili do obozu w Pruszkowie pieszo. W kolumnie tej znalazłem się również i ja. Mam jeszcze w pamięci obraz swej żony Sabiny z małą córeczką Krysią na rękach, które żegnały mnie z rozpaczą z daleka. Odwracam głowę by spojrzeć na Warszawę.

Nad Warszawą rozciąga się dym, a na niebie widać spadochrony ze zrzutami alianckimi. Było ich kilkanaście, czy aby spadły na pozycje partyzantów - pomyślałem. Nasza kolumna rozciągała się na szosie na przestrzeni co najmniej 500 metrów. Szliśmy w niewolę nie znając swego dalszego losu i miejsca przeznaczenia.

Gdy przekroczyliśmy bramę Zakładów Naprawy Taboru Kolejowego transport nasz wprowadzony został do hali fabrycznej. Była ona pusta, tylko tysiące karteczek z adresami od i do różnych osób zaśmiecały jeden róg tej hali. Przeglądałem te bilety wizytowe powstańczej Warszawy szukając wiadomości o młodszym bracie Leonardzie, który kilka godzin wcześniej przyjechał tutaj pociągiem elektrycznym - jednak bezskutecznie. Od sióstr PCK, wyszukujących wśród nas chorych, dowiedziałem się, że ci co przyjechali przed nami pociągami odjechali w dalszy transport. Jak się okazało w dniu 17 września przywieziono ich transportem do Auschwitz-Birkenau w liczbie 3021 osób i oznaczono numeracją od 196448 do 199461. /Zeszyty Oświęcimskie/.

Siostry PCK miały duże kłopoty z selekcją chorych, gdyż szpital był przepełniony, a o umieszczeniu w pomieszczeniach dla chorych decydował tylko niemiecki lekarz. Pozostali, niepewni swego losu, po nocy, zagonieni byli do uprzątnięcia hali, co polegało na zamieceniu i zrzuceniu śmieci na tor kolejowy przebiegający w wykopie przez środek tejże hali, gdyż rano, w asyście hitlerowców przybył do obozu pruszkowskiego delegat Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy. Zgrupowano nas w jednym miejscu, zrobiono zdjęcie i na tym "wizyta" się skończyła.

Przyszła niebawem pora i na nasz odjazd w nieznane. Zapędzono nas do krytych wagonów towarowych z zakratowanymi oknami i pod konwojem pociąg ruszył 17 września na Zachód.

Pierwszy krótki postój pociągu miał miejsce na stacji w Skierniewicach, gdzie panie z RGO dostarczyły do wagonów chleb.

W okolicach Sieradza zarządzono drugi postój. Zobaczyliśmy że pierwsze dwa wagony zajmowali konwojujący nas Niemcy, w ostatnich dwóch czy trzech wagonach jechały kobiety. Około piętnaście wagonów zajmowaliśmy my. Pozwolono wyjść z wagonów na jedną stronę pociągu dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Kobiety i mężczyźni kucali obok siebie - było to kolejne upokorzenie tych umęczonych ludzi.

Podczas nocnej jazdy z wagonu w którym byłem zdołało uciec

kilka osób. Po częstych strzałach karabinowych orientowaliśmy się, że i z innych wagonów też są ucieczki. Nie wiadomo na ile te ucieczki były szczęśliwe.

We Wrocławiu wagony z kobietami odczepiono i jak się później okazało, zostały one skierowane do obozów pracy w zakładach przemysłowych Wrocławia i okolic.

W jednym z tych wagonów jechała żona Władysława Krawczyńskiego, która później do obozu przysłała jemu paczkę /suszone skórki chleba i kilka cebul/. Tyle mogła zorganizować w swoim obozie pracy, a był to wielki dar serca.

Mężczyzn powieziono dalej na Zachód i 18 września w godzinach popołudniowych przekroczyliśmy bramę obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Obóz ten założony przez hitlerowców w sierpniu 1940 roku był początkowo filią KL Sachsenhausen, później stał się samodzielnym obozem koncentracyjnym o ponurej sławie wśród więźniów innych obozów. Wyniszczająca praca, nieludzki terror powodowały dużą śmiertelność wśród więźniów. Mnie i większość moich współtowarzyszy nazwa Gross-Rosen nie była znana. Wszystko to co zobaczyliśmy spadło nagle na ludzi, którzy jeszcze dwa dni temu zajęci byli sprawami ówczesnych trosk codziennych okupowanego kraju. Tu w obozie człowiek stawał się nagle numerem i stawał przed nieznanymi mu dotąd problemami. Ja otrzymałem numer 59759.

Transport nasz rozlokowano głównie na bloku 9. Dwie sztuby A i B były sypialnią dla około 900 ludzi. Z miejsca posypały się kije i razy na kupców, lekarzy, aktorów, prawników, studentów, uczniów szkół tajnego nauczania, nauczycieli i profesorów bogatych i biednych, pracowników poczty, kolei, telefonów, bankowców, właścicieli domów, fabryk, warsztatów, artystów malarzy, wierzących i nie wierzących, a nawet duchownych.

W transporcie tym poza mieszkańcami Włoch byli też mieszkańcy Żoliborza, Bielan, Czerniakowa, Woli i z innych dzielnic Warszawy.

Wszyscy stali się jednakowo biedni, nędzni i bezradni. Nikt nic nie umiał. Nie umiał się kłaść spać, nie umiał zakładać i zdejmować czapki więźniarskiej, nie umiał wymawiać numeru obozowego w języku niemieckim, nie umiał podstawić swojej miski po jedzenie - jednym słowem tragedia. A na wszystko, czego się nie umie, nie ma tłumaczenia a jest za to tylko bicie. Zależy czasem tylko kto bije, czym i jak długo. Każdy ma ogoloną głowę, nikt już nie ma wąsów i brody. Jesteśmy jak dziwadła poprzebierani w jakieś stare spodnie i marynarki pomalowane farbą czerwoną: na plecach krzyż, na spodniach lampas jak na generalskich mundurach paradnych. Nikt ubrań nie dobierał. Jeden ma rękawy za krótkie, inny rękawy musi podwijać. To samo ze spodniami. Na nogach drewniane ni to buty ni to trepy. Trzeba też się nauczyć w tym chodzić. Na głowie więźniarska czapka w białe i niebieskie pasy, wiotka, trudna do założenia, a tu nauka nakładania i zdejmowania tych czapek na komendę "mützen auf", "mützen ab". Czapka ześlizguje się z gołej głowy, a funkcyjny już biegnie i bije nieszczęśliwca, któremu to się zdarzyło.

Takie były pierwsze dni naszego pobytu w obozie - groza, początek piekła. Zapędzono nas wkrótce do robót. Worki z cementem trzeba wnosić na górę po skarpie. Biada temu, komu 50 kilogramowy worek upadł i pękł. Kij łamie się na jego plecach. Ile może tu człowiek wytrzymać? Pędzą nas do kamieniołomu po ciężkie

kamienie, które trzeba ładować do kolejki złożonej z wagoników -wywrotek. Kapo sprawdza czy więzień niesie dostatecznie duże kamienie, nie pozwala odpocząć i popędza schnell.

Ilu z nas nie wytrzymało w pierwszym okresie pobytu w Gross-Rosen tej ciężkiej próby życia trudno ustalić daty śmierci - wiadomo natomiast że Aleksander Borejczak Nr 59773 zmarł w obozie 7 października 1944 roku, a więc po 3 tygodniach pobytu, a Antoni Sójka Nr 59424 zmarł jeszcze wcześniej bo we wrześniu 1944 roku, Józef Szydliński Nr 59725 zmarł 3 listopada 1944 r.

Jest już październik, jest coraz zimniej, deszcze, czasami śnieg. Jesteśmy coraz bardziej wygłodniali. Zapas jaki mieliśmy w organizmie został już wyczerpany. Nawiedza nas teraz ciągły głód. Przydzieleni jesteśmy do robót przy budowie nowego tzw. obozu oświęcimskiego. Zrywamy najpierw darni i układamy w kostkach, później kopujemy wykopy, a kapowie mniej i więcej ważni biją i popędzają, krzyczą i biją. Jak długo to wytrzymamy?

W listopadzie rozpoczęto wybierać więźniów fachowców z przeznaczeniem do podobozów. Tam mają być oddani dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego jako siła robocza. W nadziei na poprawę losu podaję się przy selekcji jako metalowiec. Przedstawiciel zakładów zakwalifikował mnie do wyjazdu. Mam przekonanie że tak źle jak tutaj w Gross-Rosen nigdzie być nie może, więc z otuchą oczekuję wyjazdu.

Dotychczas udało się ustalić, że więźniowie z tego transportu wysłani zostali do 11 komand zewnętrznych usytuowanych na terenie Dolnego Śląska, okupowanej Czechosłowacji i na terenie Rzeszy.

Ja w grupie około 500 więźniów trafiłem do nowo założonego komanda Gablonz - Reinowitz obecnie Jablonec - Rynovice w Czechosłowacji. Więźniowie pracowali w Zakładach Zeiss-Werke.

Wolność w Gablonz doczekali między innymi: Henryk Czarnecki, Władysław Janiszewski Nr 59661, Julian Matusz Nr 59744, Wojciech Motel Nr 61885 - zmarł w pierwszych dniach wyzwolenia w Czechosłowacji, Artur Piechna Nr 59582, Stanisław Piechna Nr 59579 - zmarł w kilka dni po wyzwoleniu, Wojciech Ruciński Nr 59536, Jerzy Sitko Nr 59723, Jan Wdowczyński Nr 59695, Bolesław Wyszynski Nr 59559, Franciszek Zalega Nr 59709, Zenon Karpiński Nr 59640, Władysław Krawczyński Nr 59715, Stefan Czubiak Nr 59355 - zmarł po wyzwoleniu w szpitalu w Żeleznym Brodzie.

W lutym 1945 roku przeniesiono mnie w grupie około 100 osobowej do pobliskiego komanda Reichenau - obecnie Rychnov w Czechosłowacji. Tam więźniowie pracowali w Zakładach Getewent, a moje komando robocze w Baukolone przy budowie toru kolejowego.

Ustalono część nazwisk więźniów, którzy doczekali wolności są to: Adamski Leonard Nr 59666, Franciszek Bancerowski Nr 59333, Tadeusz Borkowski Nr 59279, Henryk Boye Nr 59494, Leon Dzierżanowski Nr 59701, Stanisław Daniłowski Nr 59557, Tadeusz Grabiec Nr 59202, Jerzy Kowalczyk Nr 59552, Władysław Langiewicz Nr 59393, Janusz Przychodzki Nr 59236, Edward Rozy Nr 59387, Edward Sobczak Nr 59799, Leon Tobolewski Nr 59365, Henryk Uchman Nr 59759, Ryszard Wasikiewicz Nr 59768.

Z tego komanda grupę więźniów ewakuowano do Buchenwaldu, byli wśród nich Czesław Jastrzębski Nr 59730, Stanisław Turkowski Nr 59422 i Jan Turkowski Nr 59443 - ten zmarł w Buchenwaldzie, a pozostali dwaj doczekali wolności.

W obu tych komandach zarówno w Gablonz i Reichenau była duża śmiertelność i stan był stale uzupełniany, jednak wielu z transportu omawianego oboz przeżyło, gdyż ewakuacja więźniów 8 maja 1945 roku była krótkotrwała, dzięki pomocy partyzantów czeskich i wojsk radzieckich - więźniowie wyzwoleni zostali po kilku godzinach marszu.

Jednak już w pierwszych dniach istnienia Komanda Gablonz stan chorych się zwiększał, co zmusiło komendanturę obozu do wybudowania odrębnego pomieszczenia na rewir. Jeszcze w listopadzie zmarł Piotr Czarnecki a później między innymi: Henryk Janocha, Wacław Łukaszewski, Józef Szolc Nr 59774, Stanisław Załuski.

Podobnie było z więźniami komanda Grulich i Landeshut. W Komando Landeshut - Kamienna Góra więźniowie pracowali w zakładach produkujących łożyska toczne. Ilu więźniów z tego transportu tam pracowało nie ustalono. Powrócił z tego obozu Zygmunt Scholl Nr 59663

Z Komando Grulich - Kraliki - Czechosłowacja powrócili: Kazimierz Barszcz Nr 59627, Mieczysław Ojżyński Nr 59697, Władysław Karpiński Nr 59640, Edward Krukowski Nr 59628, Bolesław Mozer Nr 59590, Adam Nyc, Zygmunt Sitko Nr 59724, Wacław Sobczak.

W pozostałych komandach tylko nieliczni przeżyli ciężkie warunki obozowe, zimową w styczniu ewakuację do Gross-Rosen i dalszą w lutym do innych obozów.

W Komando Breslau I Famo Werke - Wrocław odnotowano pobyt Stanisława Natana Nr 59187.

W Komando Breslau II - Hoffman Linke - obecnie "Pafafag" - Wrocław więźniowie pracowali przy produkcji wagonów, a między innymi: Stanisław Kubik, Józef Luśnia Nr 59551, Aleksander Sójka Nr 59425, Czesław Antoni Bartoszewski Nr 59426 - zmarł w lutym 1945 roku prawdopodobnie w czasie ewakuacji do Gross-Rosen lub do Flossenburga.

W Komando Brieg - Pampitz - obecnie Pępice woj. opolskie więźniowie pracowali przy budowie lotniska. Pracował tam między innymi Władysław Furmański Nr 59121. Komando było zimą ewakuowane do obozu centralnego, a później do Buchenwaldu.

W Komando Dyhernfurth II - Brzeg Dolny - woj. wrocławskie więźniowie pracowali przy rozbudowie Zakładów Chemicznych i obozu. Wśród więźniów byli Józef Lesiński Nr 59346, Feliks Nasiadek Nr 59345, Sikorski, Jerzy Szostak Nr 59653, Zygmunt Wroczyński Nr 59649 - zmarł w styczniu 1945 roku po ewakuacji Komanda do Gross-Rosen. W dalszej ewakuacji więźniów skierowano do Dory.

W Komando Fünfteicheu - Zakłady Kruppa - "Bertha Werke" - obecnie "Jelcz" w Miłoszycach woj. wrocławskie. Między 6000 tysiącami więźniów pracowali tam Karol Goniprowski Nr 59188, Jan Siewiera Nr 59295. Więźniów w trudnych warunkach zimowych w styczniu pędzono do centralnego obozu Gross-Rosen, a wkrótce do dalszych obozów Dory i Mauthausen. Ilu z nich pozostało na szlakach tych tragicznych ewakuacji nikt się nie dowie.

W Komando Gassen - obecnie Jasień - woj. zielonogórskie. Tutaj pracowali: Józef Chmielewski Nr 59293, Witold Lech Domański Nr 59164, Edward Grzelak Nr 59331, Wiktor Kępiński Nr 59469, Piotr Pikuliński Nr 59211, Tadeusz Sarnowski Nr 59136, Feliks Świerczyński Nr 59197, Stefan Wieladek Nr 59326, Zygmunt Woszkowski Nr 59018.

Transporty ewakuacyjne tego Komanda też były znaczone trupami do Komanda Thekla obozu Buchenwaldzkiego pod Lipskiem, a gdy wyruszono w dalszą ewakuację chorych więźniów umieszczono w baraku, który podpalono. Kto próbował ucieczki ginął od kuli broni maszynowej. Niewielu z nich się jednak uratowało.

Komando Gross-Koschen - w Niemieckiej Republice Demokratycznej zatrudniało więźniów przy rozbieraniu części z wraków samolotów.

Wiadomo, że wśród więźniów byli też uczestnicy omawianego transportu warszawskiego, a między innymi: Marian Borkowski Nr 59227, Lech Czajka - zmarł na trasach ewakuacyjnych z Buchenwaldu, Edward Dąbrowski Nr 59745, Tomasz Drzewiecki Nr 59792, - zmarł na szlakach ewakuacyjnych z Buchenwaldu, Stefan Gołaszewski Nr 59667 zmarł jako więzień Buchenwaldu, Jerzy Gołębiowski Nr 59680 - zmarł jako więzień Buchenwaldu, Józef Goszkowski Nr 59747, Antoni Goździcki Nr 59800, Piotr Grzewko Nr 59764, Kazimierz Janecki Nr 59754 - zmarł jako więzień Buchenwaldu, Wiktor Kibittlewski Nr 59594 - zmarł jako więzień Buchenwaldu Nr 132167, Eugeniusz Kielan Nr 59771 - zmarł jako więzień Buchenwaldu, Feliks Kiszko Nr 59231, Józef Kostrzewa Nr 59479, Edward Kowalczyk Nr 59664, Kurzawa - zmarł w obozie, Tadeusz Lewandowski Nr 59694 - zmarł w obozie jako więzień Buchenwaldu, Jan Lutkowski Nr 59488, Władysław Lutkowski Nr 59384, Władysław Młotek Nr 59780 - zmarł w obozie, Marian Ostrzegało Nr 59417, Wacław Pacek Nr 59679, Seweryn Pianowski Nr 59760 - zmarł jako więzień Buchenwaldu Nr 132300, Władysław Popielski Nr 59595, Lech Rojek Nr 59444, Edward Salomonowski Nr 59574, Zygmunt Schański Nr 59793 - zmarł jako więzień Buchenwaldu, Jan Seliga Nr 59758 - zmarł w dalszej ewakuacji, Czesław Skatulski Nr 59713, Edward Stypiński Nr 59611, Kazimierz Stypułkowski Nr 59666 - zmarł w obozie, Andrzej Szokalski Nr 59737, Alfred Szolc Nr 59775 - zmarł jako więzień Buchenwaldu Nr 132230, Jan Śladowski Nr 59798 - zmarł w dalszej ewakuacji, Stefan Walczak Nr 59632, Jan Więckowski Nr 59703, Józef Wróbel Nr 59419, Wrzesiński, Zdzisław Wrześniewski Nr 59766, Marian Zawodzki Nr 59740.

Być może, że uczestnicy mojego transportu wrześniowego byli też na takich komandach, z których nikt nie ocalał lub o nich nic nie wiadomo.

Dotychczas udało się ustalić, że z transportu liczącego w dniu 18 września 1944 roku około 900 osób przeżyło jedynie około 180 osób.

Ci, którzy zginęli w obozie Gross-Rosen lub jego filiach do grudnia 1944 roku spaleni zostali w obozowym krematorium Gross-Rosen. W 1945 roku w filiach nie ewakuowanych zwłoki grzebano na terenach przyobozowych. Przy ekshumacji nie można było zidentyfikować zwłok. Więźniów zastrzelonych w czasie marszu w transportach ewakuacyjnych - jako niezdolnych do dalszego marszu - pozostawiano po prostu w rowach przydrożnych lub grzebano w zbiorowych mogiłach w przypadkowych miejscach. Podobny los spotkał więźniów w morderczych transportach przewożonych koleją.

W wyniku transportów ewakuacyjnych część więźniów z opisanego transportu przewieziona została do obozów koncentracyjnych Buchenwald, Mauthausen, Dachau, Flossenbürg, Bergen-Belsen. Wielu z nich tam dopadła śmierć, a ciała ich spalone zostały w krematoriach tamtych obozów.

Tak więc niepełne dziewięć miesięcy niewoli w hitlerowskim obozie Gross-Rosen z tego transportu przeżyło zaledwie około 10 %, a i oni umierali przeważnie na gruźlicę najczęściej w pierwszych latach już jako wolni ludzie.

Wspomnę jeszcze, że mój młodszy brat Leonard, który 16 września 1944 roku odjechał wcześniej pociągiem elektrycznym do Pruszkowa, jeszcze przed moim dojściem do Pruszkowa wysłany był do Auschwitz-Birkenau Nr 197963 - zmarł jako więzień Buchenwaldu Nr 90338 pracując na komando Leau Plömenitz w kopalni.

Nr.archiwum Gross-Rosen 4.6.85.



Jan Gacparski-więzień nr 59651 w dniu 24 grudnia 1944 r. pisał list do matki prosząc o chleb. Była to ostatnia o nim wiadomość. Zginął prawdopodobnie na trasach ewakuacyjnych w lutym 1945 roku.

Nr archiwum 1.5.3. 53.